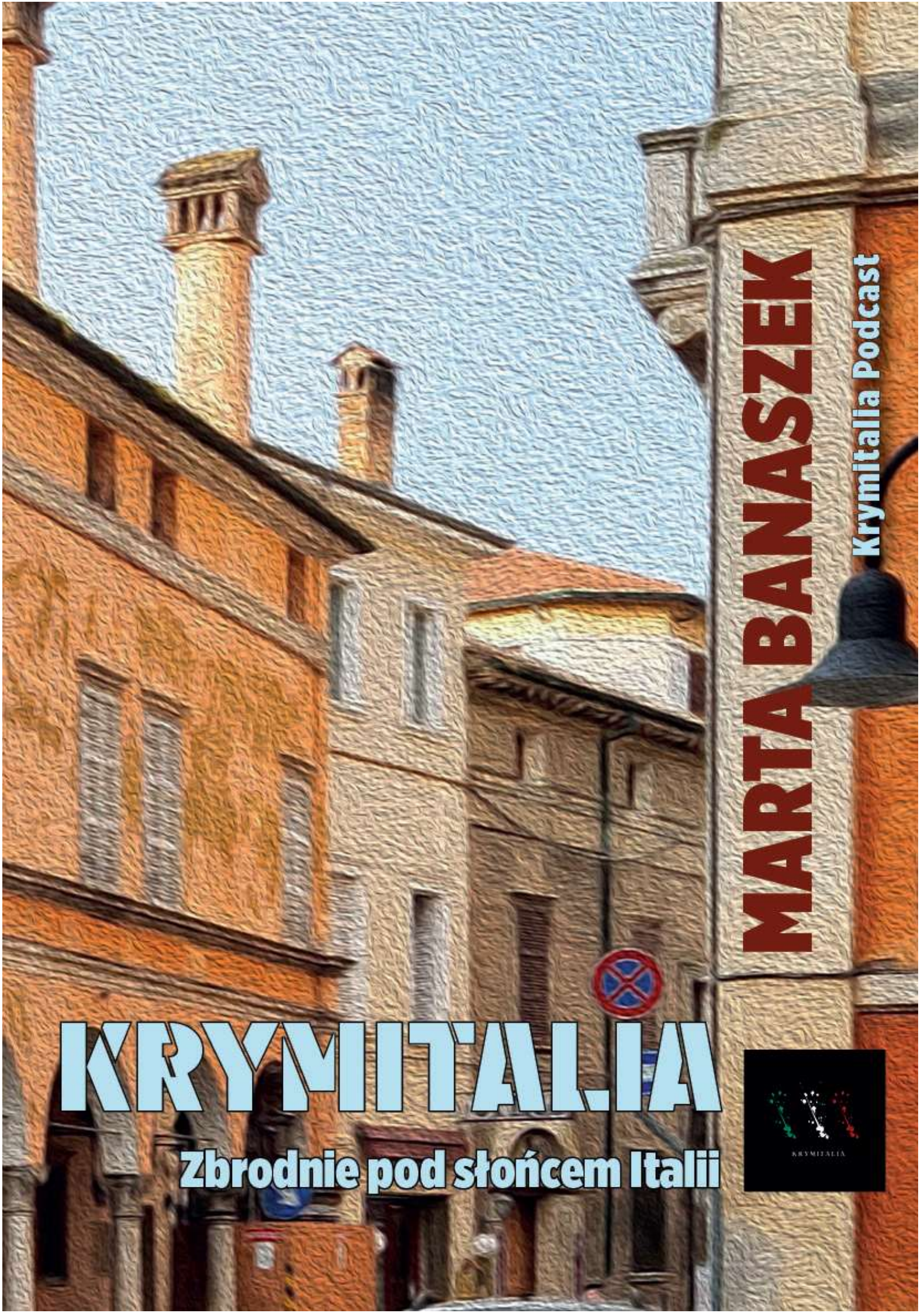

MARTA BANASZEK
Krymitalia Podcast
KRYMITALIA
Zbrodnie pod słońcem Italii
KRYMITALIA

Marta K. Banaszek

Krymitalia

Zbrodnie pod słońcem Italii

APN Promise
Warszawa 2025

Copyright ©2025 by Marta K. Banaszek
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Wydawca:
APN PROMISE SA, ul. Domaniewska 44a, 02-672 Warszawa
tel. +48 22 35 51 600
e-mail: wydawnictwo@promise.pl

Ilustracje: autorka (z wykorzystaniem AI)
Projekt okładki: TAU NI Tomasz Niesłuchowski
Redakcja: Karolina Kotusiewicz, Marek Włodarz
Korekta: Ewa Swędrowska
Skład i łamanie: MAWART Marek Włodarz

ISBN 978-83-7541-599-5 (druk), 978-83-7541-600-8 (ebook)

Printed in Poland

Wszelkie postacie i wydarzenia w tej książce mają charakter fikcyjny. Podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych oraz do rzeczywistych zdarzeń jest przypadkowe i niezamierzone.

Opowieść 1.
Pineta w Rivamarinie

San Felorio, czerwiec 1995

Ich domek letni w Rivamarinie nie rzucał się w oczy. Był skromny, jednopiętrowy, z płaskim dachem i prostą balustradą, którą ojciec odmalował kilka lat wcześniej. Otaczały go sosny pinie i wysokie sosny nadmorskie, z korą łuszczącą się płatami jak stare farby na ławkach w porcie. Gdy od morza wiał wiatr, taras zasypywały igły i szyszki, a w powietrzu czuło się gęsty, żywiczny zapach, który od razu kojarzył się z latem. Za siatkowym ogrodzeniem rozciągał się wąski pas lasu, ciemniejszy i wilgotniejszy niż wszystko dookoła, i wyschnięty rów, w którym czasem pojawiały się jaszczurki. Dalej zaczynał się parking z ubitej ziemi, a od niego biegła kręta ścieżka, prowadząca prosto na plażę. To tam spędzali wszystkie wolne dni, a na co dzień mieszkali w San Felorio. Alessia Venturi miała jednak poczucie, że San Felorio i Rivamarina, choć piękne, są dla niej tylko przystankiem. Nie chodziło o to, że źle się tu czuła. Po prostu jej głowa była przepełniona rzeczami, które wykraczały poza granice piniowego lasu i portu rybackiego. Miała wyjątkowy talent do nauki. Z łatwością zapamiętywała łacińskie odmiany, wzory z fizyki rozumiała szybciej niż koledzy. Nauczyciel od włoskiego mówił, że jej charakter pisma jest jak brzytwa: czysty, precyzyjny, bez zbędnych zawijasów. W szkole często żartowano, że jest kujonką, że przesadza z nauką, ale gdy ktoś miał zaległości, zawsze pierwsze kroki kierował właśnie do niej, prosząc o notatki.

Tego czerwcowego poranka Alessia siedziała przy kuchennym stole w ich codziennym mieszkaniu w San Felorio, godzinę drogi od Rivamariny. Tu toczyło się ich zwyczajne życie. Stół przykryty był ceratą w niebieską kratkę, a na nim stał kubek z latte macchiato, które zdążyło już lekko ostygnąć. Obok leżał talerzyk z rogalikiem i otwartym słoiczkiem dżemu morelowego, pachnącym tak, że trudno było się powstrzymać od spróbowania.

– Zjesz w końcu, czy będziesz tak się gapić? – zagadnęła Donata, matka Alessii. Miała na sobie biały kitel pielęgniarki. Włosy, ciemne i grube, zebrała w ciasny koczek, z którego wymykał się jeden uparty kosmyk. Mówiła surowym tonem, ale w oczach błyszczało rozbawienie. – Nic mi po córce, która padnie w połowie drogi na skuterze.

– Zjem, zjem – odpowiedziała Alessia, kręcąc głową z lekkim uśmiechem. – Ale najpierw kazałaś mi sprawdzić listę.

Wyciągnęła z kieszeni złożoną na czworo kartkę, zapisaną równymi literami. Przeczytała półgłosem: parasol plażowy, klucz do spiżarki, cztery paczki makaronu, świeczki na wypadek braku prądu, worki na śmieci, baniak z wodą, zeszyt do włoskiego, bo najlepiej pisało jej się właśnie na tarasie domku w Rivamarinie. Sergio, jej ojciec, stał przy oknie i czyścił okulary w cienkich oprawkach. Na półce nad radiem leżała rozpiska jego dyżurów na stacji w Campiglii, gdzie pracował jako dyspozytor.

– Jedź prosto – zaczął tonem, w którym troska mieszała się z jego zawodową precyzją. – Żadnych skrótów przez pola. Droga jest łatwa, ale nie kombinuj. Nie zjeżdżaj na żwir, bo rozetniesz oponę i zostaniesz sama z problemem. I pamiętaj: nie próbuj ścigać się z innymi. Jak zobaczysz czarne BMW z tablicą z Pizy, odczekaj, niech przejadą. Oni zawsze gnają jak szaleni.

– Tato – prychnęła Alessia, ale od razu się uśmiechnęła, żeby go nie urazić.

– Mówię poważnie – dodał, chociaż też nie potrafił się powstrzymać od uśmiechu. – Jeśli coś będzie nie tak, zadzwoń z budki przy barze Nettuno. Telekartę masz w portfelu.

– Poradzę sobie – rzuciła lekko, choć wiedziała, że oboje i tak będą się martwić, dopóki nie usłyszą, że dotarła.

Donata w tym czasie podeszła do szafy i wyjęła z niej biały kask. Stary, ze startą szybką, ale wciąż niezawodny. Podała go córce, sprawdzając przy okazji zapięcie.

– Pokaż pasek – powiedziała. Czasem traktowała swoją córkę jak małą dziewczynkę. – I rękawiczki załóż, nie zapomnij. Jak dotrzesz, otwórz okiennice na oścież, żeby się przewietrzyło. Niech dom złapie trochę słońca. I nie pij wody z kranu.

– Wiem, mamo.

– I jeszcze jedno. – Jej głos nagle stwardniał. – Żadnych gości. A gdyby jednak ktoś się pojawił, odpowiadasz: „Przyjdźcie wieczorem, kiedy będą rodzice".

– Mamo...

– Nie żartuję – przerwała jej ostro. – Wiesz dobrze, jacy potrafią być ludzie.

Alessia zarzuciła plecak na ramię, chwyciła kask i swoje wysłużone, skórzane rękawiczki. Na palcach miały już przetarcia, pamiątkę po kilku sezonach jazdy. Zamknęła drzwi i zeszła po schodach na klatkę, gdzie powietrze było ciężkie i pachniało kurzem. Na dziedzińcu czekała Vespa 50 Special, trochę zakurzona, ale wciąż piękna. Wystarczył jeden obrót kluczyka, by silnik od razu zamruczał. Założyła kask i zapięła pasek tak mocno, że przez chwilę miała problem z przełknięciem śliny.

– Przyjedziemy po pracy – krzyknął z okna ojciec. – Najpóźniej o dziewiętnastej!

– O osiemnastej trzydzieści – poprawiła go matka.

– Zobaczymy, jak wypadnie kontrola torów – mruknął Sergio.

– Okej! – odpowiedziała Alessia i ruszyła.

Za sklepem z narzędziami skręciła w stronę drogi prowadzącej na wybrzeże. Po jednej stronie mignęła glinianka, po drugiej zielone rzędy winnic. Termometr nad apteką pokazywał już dwadzieścia siedem stopni, choć dopiero minęła dziesiąta. Zatrzymała się jeszcze na chwilę przy piekarni pani Lucii, żeby kupić małe co nieco na drogę.

– Alessia! – zawołała właścicielka zza lady. – Jak poszedł ci sprawdzian u pani Morlini? – Jej córka siedziała z Alessią w jednej ławce.

– Dobrze, pani Lucio, naprawdę dobrze – odpowiedziała dziewczyna.

– No jasne, inaczej być nie mogło – skonstatowała kobieta z satysfakcją.

– Ciebie to wszyscy profesorowie uwielbiają – wtrącił chłopak w obsypanym mąką fartuchu piekarza. – Jeszcze zostaniesz sławną uczoną, wrócisz tutaj i będziesz rządzić całym miasteczkiem.

– Do rządzenia się nie nadaję – odparła z uśmiechem Alessia. – Wolę pisać.

Maślane bułeczki wylądowały w plecaku, a butelkę wody wsunęła do bocznej kieszeni Vespy. Silnik ponownie zamruczał. W równym rytmie minęła myjnię samochodową, stację paliw i małą kapliczkę z daszkiem z czerwonych dachówek. Kiedy wjechała na rondo w Rivamarinie i skręciła w boczną ulicę, otoczył ją cień piniowego lasu. Światło przecinało drogę równymi pasami. Przez chwilę jechała wolniej, żeby nacieszyć się chłodem i zapachem żywicy, a zaraz potem poczuła w powietrzu znajomą woń soli. Morze było już naprawdę blisko.

Rivamarina, godz. 12.05

Zaparkowała Vespę lekko po skosie, żeby nie zastawiać wjazdu sąsiadom. Zgasiła silnik, zdjęła kask i pomachała do pani Ornelli, która akurat podlewała doniczki z drzewkami cytrynowymi przed domkiem obok.



– Sama przyjechałaś? – zawołała sąsiadka przez podwórko. – Rodzice dopiero wieczorem?

– Tak, pani Ornello – odpowiedziała grzecznie Alessia.

– Chcesz wpaść na kawę mrożoną? Mam świeżo zrobioną.

– Może później, dziękuję. Najpierw muszę ogarnąć dom – odparła, unosząc plecak.

Weszła do środka. Pierwszy oddech przypomniał jej o tym, że dom stał pusty od dość długiego czasu. W powietrzu unosił się zapach kurzu i lekkiej wilgoci, typowy dla zamkniętych letnich domów. Otworzyła szeroko okiennice w salonie, potem w kuchni, wpuszczając do środka światło i ruch powietrza. Przeszła na taras. Był spory, choć niemal pusty. Był tam plastikowy stół, trzy krzesła i zwinięta roleta przeciwsłoneczna, która czekała na lipcowe upały. Zajrzała do spiżarki; na półce stały rzędem słoiki z passatą pomidorową z poprzedniego lata. Tak jak zawsze, wszystko było na swoim miejscu. W kuchni zdjęła ze stojaka ściereczkę i przetarła blat, a potem zrobiła szybki obchód po pokojach: łazienka, dwie sypialnie, mały schowek. W łazience odkręciła kran z zimną wodą i czekała, aż pierwsza, mętna struga ustąpi miejsca czystej. Na parapecie kuchennym stało małe radio na baterie. Kiedy przekręciła pokrętło, w głośniku rozbrzmiał Jovanotti. Alessia zaczęła nucić refren, jednocześnie wieszając na balustradzie pościel. Kiedy skończyła, usiadła na niskim stopniu tarasu. Słońce zaglądało tam przez gałęzie, ale nie było jeszcze dokuczliwe. Wyjęła zeszyt, otworzyła na pustej stronie i przez chwilę wpatrywała się w biel papieru. Ołówek leżał w dłoni, lecz słowa nie chciały przyjść. Zamiast pisać, patrzyła w stronę pasa lasu. Wiedziała, że latem gromadzili się tam chłopcy. Pili piwo, darli się wniebogłosy, zostawiali po sobie butelki i papiery. Dopiero później przychodzili strażnicy miejscy z workami i zbierali śmieci, mrucząc pod nosem. Jeśli o coś naprawdę się w Rivamarinie dbało, to o sprzątanie po miejscowych i po turystach. Koło pierwszej słońce stało już wysoko i robiło się duszno. Alessia wyjęła z plecaka jedną

z maślanych bułeczek i zjadła powoli, a drugą odłożyła na później. W kuchni tykał zegar. Powietrze drżało nad drogą.

San Felorio, godz. 14.10

Donata skończyła dyżur dokładnie o czternastej. Wyszła ze szpitala bocznym wyjściem, żeby nie zatrzymała jej gadatliwa koleżanka z laboratorium.

– I jak tam sytuacja? – odezwała się do słuchawki, skręcając w stronę swojej ulicy. – Musimy jeszcze zabrać rzeczy z domu.

– Wziąłem wolne wcześniej – odpowiedział Sergio. – O piętnastej trzydzieści będę pod blokiem. Po drodze zatrzymamy się jeszcze po benzynę na stacji.

– W porządku – przytaknęła Donata.

Po chwili w słuchawce rozległ się krótki trzask i połączenie się urwało. Schowała telefon do torebki. Komórki w ich czasach były jeszcze rzadkością, ale Sergio miał służbową Motorolę, ciężką jak cegła. Korzystała z niej tylko kiedy naprawdę musiała. Nadal była wierna budkom telefonicznym i niebieskim telekartom. W domu zapakowała do torby świeże ręczniki, niebieski koc w kratę, który zawsze zabierali nad morze, i latarkę. W ostatniej chwili wsunęła do bocznej kieszonki tubkę kremu z filtrem. Przed blokiem czekał już Sergio w ich czerwonym Fiacie Uno. Mrugnął do niej światłami, kiedy podchodziła.

– Jedziemy po benzynę – rzucił przez opuszczone okno. – I kupimy lód do lodówki turystycznej. Jak dojedziemy, zrobimy lemoniadę.

Donata usiadła obok i zapięła pas.

– Jak Alessia była mała, potrafiła pić tę lemoniadę litrami – przypomniała z lekkim uśmiechem.

– Nadal pije – odparł Sergio.

– Ale dziś już nie jest mała.

Jej mąż skinął głową z westchnieniem.

Rivamarina, godz. 14.55

Alessia przymknęła okiennice, żeby pokoje nie nagrzały się za bardzo; w czerwcu słońce potrafiło zmienić je w piekarnik. W kuchni opłukała kilka szklanek i odstawiła je do suszarki. Zajrzała jeszcze ponownie do spiżarki, gdzie sprawdziła daty przydatności paczek z makaronem. Na chwilę przyszło jej do głowy, żeby zejść ścieżką do lasu i poszukać dzikiego rozmarynu. Wiedziała, że lubił rosnąć tam, gdzie ziemia dłużej trzymała wilgoć, ale machnęła ręką. Zrobi to później. Zamiast tego zeszła na podjazd. Nachyliła się nad Vespą, żeby sprawdzić stan opon i naciąg linek hamulca po ostatniej trasie. Przetarła dłonią kierownicę z pyłu i poprawiła lusterko, które znów przekrzywiło się przy parkowaniu. W tej chwili usłyszała charakterystyczny warkot. Nie brzmiał jak jej skuter; dźwięk był głębszy i mocniejszy. Podniosła wzrok. Od strony skrzyżowania ścieżek nadjeżdżał powoli czarny motocykl. Za kierownicą siedział chłopak, którego już kilka razy widziała przy kiosku na małym placyku. Zawsze te same ciemne okulary, koszulka bez rękawów i mina, która mówiła, że świat należy do niego. Dziewczyny plotkowały, że był wysoki i przystojny jak jakiś aktor. Nazywał się Giorgio Zanissi. Śmiał się głośno, miał białe zęby i zawsze pełno kolegów wokół siebie.

Tym razem Giorgio jechał sam. Motocykl zatrzymał kilkanaście metrów dalej, zsiadł z niego bez pośpiechu, strzepnął dłonią niewidoczny pył z koszulki i zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Ciao – rzucił swobodnie, podchodząc do Alessii, jak do starej znajomej. – Ty jesteś z tej ulicy, prawda?

– Z tej – odpowiedziała krótko.

– Kojarzę cię – ciągnął. – Widziałem cię kiedyś, jak szłaś z książkami. Lubisz czytać?

– Lubię – przyznała.

– A ja lubię jeździć. – Wskazał ruchem głowy na swój pojazd. – Ale czasem lubię też posiedzieć nad morzem. Idę na klif. Chcesz iść ze mną?

– Czekam na rodziców – odpowiedziała spokojnie.

– To wpadnę później – stwierdził tonem człowieka przekonanego, że sprawa jest przesądzona. – Pokażę ci miejsce, z którego widać całą zatokę. Zero turystów, ekstra widok.

– Dziękuję, ale...

– Pomyśl o tym – przerwał jej i przez moment zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Alessia poczuła, jak robi się jej nieswojo. Miała odkryte ramiona i nogi, a jego spojrzenie sprawiło, że nagle zapragnęła zasłonić się rękami. Wsunął okulary z powrotem na nos, wsiadł na motocykl i odjechał.

Alessia patrzyła za nim jeszcze przez moment. Wiedziała, że był synem burmistrza. Zawsze kręcili się wokół niego ci sami: Tommaso Valenti, syn notariusza, i Fabrizio Del Moro, którego ojciec miał pod sobą połowę marin i sklepy z drogimi żeglarskimi kurtkami. Trzymali się razem, jeździli po miasteczku, pili spritz w Nettuno. Wszędzie byli pierwsi. A kiedy wchodzili do lokalu, barman nalewał im napoje bez pytania. Alessia odwróciła się na pięcie i weszła z powrotem do domu. Jeszcze raz sprawdziła, czy wszystko wyłączyła i czy zostawiła porządek, zanim ponownie usiadła na tarasie.

Droga do Rivamariny, godz. 16.40

Sergio prowadził ostrożnie, bo droga wiła się przez las. Asfalt był stary, w wielu miejscach popękany, a zakręty przykryte igłami i cienką warstwą piachu, po której łatwo mogły się zsunąć koła.

– Jak dojedziemy, zjemy coś prostego na tarasie – odezwał się, nie spuszczając oczu z drogi. – Pomidory z oliwą, trochę chleba, oliwki. A potem pójdziemy się przejść.

– Nie mogę się doczekać – odparła Donata, opierając głowę o szybę.

Przed samą Rivamariną musieli jeszcze minąć rondo, gdzie stało dwóch karabinierów w białych czapkach. Jeden uniósł rękę, dając znak, żeby jechali dalej. Sergio kiwnął głową w podziękowaniu i skręcił

w stronę ich ulicy. Pierwszy niepokój pojawił się, gdy zauważyli uchyloną furtkę. Czyżby Alessia nie zamknęła jej za sobą? Drugi, gdy weszli do kuchni i usłyszeli jedynie tykanie zegara. Zwykle z parapetu sączyła się cicho muzyka z radia, które Alessia zostawiała włączone.

– Alessia? – zawołała Donata, podnosząc głos.

– Ale? – powtórzył Sergio, używając zdrobniałego imienia córki.

Przeszli przez wszystkie pokoje. Na balustradzie wciąż wisiała pościel, szklanki przy zlewie były umyte i odstawione do suszenia.

– Nie ma jej – powiedział w końcu Sergio.

Wyszli na taras i oparli się o balustradę. Z miejsca, gdzie stali, dobrze widać było parking. Zazwyczaj Vespa Alessii stała pod ścianą, w tym samym kącie. Teraz jednak było tam pusto.

– Pojechała gdzieś – rzuciła Donata, ale w jej głosie brzmiało powątpiewanie.

Wróciła do środka i zajrzała do małej szafki, gdzie córka trzymała swoją torebkę. Leżała tam nietknięta. Donata rozsunęła zamek i zajrzała do środka. W przegródce znalazła niebieską telekartę z pozłacanym chipem, tę samą, którą rano wsunęli Alessii do portfela na wszelki wypadek. Postanowili zapytać sąsiadkę. Pani Ornella otworzyła drzwi niemal od razu.

– Widziałam ją przed południem – powiedziała bez wahania. – Przyjechała, otworzyła okiennice, pomachała mi. Potem poszłam do kuchni robić obiad. Słyszałam, jak przesuwała krzesła, potem grało radio. Później już nic. Nie wiem, która była godzina, ale chyba po drugiej.

– Zobaczę w okolicy – odezwał się Sergio. – Popytam, może ktoś ją widział.

– Idę z tobą – dodała Donata bez chwili namysłu.

Rivamarina, godz. 18.30 – 21.00

Najpierw weszli do baru Nettuno. Barman wzruszył ramionami, kiedy zapytali o Alessię.

– Dziewczyna? Blond włosy? Może. Przewinęło się dzisiaj tylu ludzi, że nie pamiętam. Pamiętam tylko chłopaków, którzy brali spritze.

Potem zajrzeli do kiosku.

– Sprzedałam jednej blondynce „La Nazione" – powiedziała kobieta za ladą. – Ale ja nie zapamiętuję twarzy.

Kiedy wrócili pod dom, słońce już chowało się za lasem. Światło zrobiło się miodowe, ale w powietrzu czuło się ciężką, nienaturalną ciszę. Nie była to ani spokojna, ani przyjemna cisza; przyklejała się do ust i gardła. Donata poczuła, że kręci jej się w głowie.

– Musimy iść do karabinierów – powiedziała cicho.

– Jeszcze pół godziny – odparł Sergio, najwyraźniej chcąc odwlec tę decyzję. – Może pojechała po jakieś zakupy.

– O tej porze? – Donata pokręciła głową. – Sklepy już zamknięte. Wszystko mieliśmy w domu.

Sergio przez chwilę nic nie mówił, potem skinął głową.

– Jedziemy na posterunek – zdecydował.

Posterunek karabinierów mieścił się w dwupiętrowym budynku z grubymi murami z jasnego kamienia. Na ścianie wisiała włoska flaga, obok niej portret prezydenta. Za biurkiem siedział młody karabinier, włosy miał zaczesane tak starannie, jakby spędzał więcej czasu przed lustrem niż nad raportami.

– Poproszę o państwa dane – poprosił rzeczowym tonem, wyciągając formularz. – Ile lat ma córka? – zapytał po chwili.

– Siedemnaście – odpowiedziała Donata.

– Mogła pojechać do koleżanki? – ciągnął, nie odrywając wzroku od papierów.

– Nie. Byliśmy umówieni, że zostanie w domu i poczeka na nas – odparła stanowczo.

– Może spotkała się z chłopakiem – zasugerował.

– Alessia nie ma chłopaka. A gdyby nawet, zadzwoniłaby z budki i dała znać, że jej nie będzie. – podkreślił Sergio.

Karabinier westchnął i zapisał coś w rubryce.

– Wyślemy patrol w tamtą stronę – powiedział, przerzucając kilka kartek. – Na drogach spokojnie, tylko jedna stłuczka za rondem.

Podał im wizytówkę z numerem telefonu.

– Proszę wrócić do domu. Jeśli córka się zjawi, natychmiast proszę zadzwonić.

Sergio zacisnął palce na kartoniku.

– Zrobimy jeszcze jedno kółko – oznajmił. – Pojadę wzdłuż lasu.

– Bez paniki – uśmiechnął się młody karabinier. Miał minę kogoś, kto wie, co mówi. – Młodzi mają różne pomysły.

Donata nie odwzajemniła uśmiechu. Dobrze wiedziała, że to nie był przypadek jej córki.

Pineta di Rivamarina, godz. 22.15

Vespę zauważyli od razu. Stała krzywo przy drodze gruntowej, odstawiona byle jak, przechylona na bok. Obok piętrzył się wał piachu, na którym wyraźnie odznaczały się ślady opon, nie tylko pojazdu ich córki, ale też samochodowych. Kluczyk tkwił w stacyjce, nie był przekręcony do końca. Kilka kroków dalej, w trawie, leżał zarysowany kask z odpiętym paskiem.

– Nie dotykaj – rzucił Sergio ostro.

– Nawet nie myślę – odpowiedziała Donata i odsunęła się o krok.

Już w trakcie tej wymiany słów wyciągnęła z torby ciężką Motorolę i zaczęła wybierać numer. Dzwoniła, zanim Sergio zdążył skończyć zdanie. Najpierw przyjechał niebieski samochód osobowy, zaraz za nim biała furgonetka. Wysiadło z niej dwóch mężczyzn w rękawiczkach. Bez słowa zaczęli robić zdjęcia, a potem wbijali w ziemię małe białe chorągiewki, zaznaczając każdy szczegół.

– Proszę stanąć z boku – zwrócił się do Donaty i Sergia jeden z nich, ruchem dłoni pokazując miejsce przy drodze.

Drugi wskazał latarką na linię drzew.

– Przejdziemy jeszcze kawałek w głąb. Ale już jest zbyt ciemno. Zrobimy tylko wstępne sprawdzenie, odgrodzimy teren, a resztę zostawimy na rano.

Rivamarina, dzień 1–4

W następnych dniach las, zwykle pusty i cichy, nagle wypełnił się ludźmi. Kręcili się tam wszyscy; rybacy, sąsiedzi z domków letniskowych, strażacy ochotnicy, nawet turyści. Byli tam też wszyscy młodzi ludzie z miasteczka. Jedni naprawdę chcieli pomóc, inni po prostu byli ciekawi i stali na uboczu z rękami w kieszeniach. Pojawiały się kolejne tropy. Jeden z wędkarzy z kanału zarzekał się, że widział, jak około piętnastej jakaś blondynka jechała szybko w stronę lasu na skuterze. Inny mówił o białej Lancii z rejestracją z Florencji, zaparkowanej przy wjeździe do lasu. Nigdzie w pobliżu nie widać było kierowcy. Karabinierzy skrupulatnie notowali te informacje. Czwartego dnia do domu Venturich weszli technicy w rękawiczkach. Sprawdzili balustradę, klamki, framugi drzwi. Pobrali odciski. A potem tego samego dnia przyszła wiadomość, której rodzice bali się od początku. Około dwustu metrów od miejsca, gdzie porzucono Vespę, natrafiono na ciało. Leżało na zboczu, przykryte starannie igłami, gałęziami i kilkoma większymi kamieniami. Ktoś układał to metodycznie, krok po kroku. Kolana dziewczyny były zgięte, jedna ręka schowana pod tułowiem, włosy zasłaniały twarz. Donata i Sergio nie podeszli od razu. Przysiedli na pniu bliżej drogi. Czekali, aż ktoś zwróci się do nich i wypowie słowa, których nigdy nie będą w stanie zapomnieć. Pamiętali jak przez mgłę to, co usłyszeli od karabinierów i lekarza sądowego. Alessia została uduszona. Skrzywdzono ją też w inny sposób. Wszystko wskazywało na to, że sprawców było kilku. Na miejscu porzucenia ciała roiło się od śladów podeszew butów.

Rivamarina, lipiec 1995

Tamtego lata w Rivamarinie zorganizowano cztery pogrzeby. Najpierw żegnano starego rybaka, potem dwie kobiety, które nie wytrzymały lipcowych upałów, a na końcu Alessię. Jej trumna była biała, podobnie jak róże, które ustawiono wokół. Słońce wpadało przez otwarte drzwi kościoła i odbijało się od chłodnej posadzki na dziedzińcu, rażąc w oczy wszystkich, którzy stali z tyłu. Na ceremonię przyszło prawie całe miasteczko. Przed kościołem stanęła dziennikarka z lokalnej telewizji.

– W Rivamarinie – zaczęła – nic takiego nie miało prawa się wydarzyć. A jednak się wydarzyło. Śledczy sprawdzają każdy trop.

Donata i Sergio nie zapamiętali prawie nic ani z mszy, ani z samego pochówku. Stracili jedyne dziecko.

Przesłuchania ciągnęły się jeszcze przed pogrzebem Alessii i długo po nim. Karabinierzy wzywali po kolei znajomych, sąsiadów, a także tych, o których w miasteczku najczęściej szeptano. W dniu, kiedy dziewczyna zaginęła, Tommaso Valenti, Giorgio Zanissi i Fabrizio Del Moro mieli spędzać czas w willi na wzgórzu. Towarzyszyła im grupka znajomych i ich dziewczyny, grillowali i pili alkohol.

– Nie zjeżdżaliśmy do lasu – zarzekał się Tommaso, siedząc przed biurkiem karabiniera. – Po co mielibyśmy tam iść? Wieczorem roi się od komarów.

– A ty? – zwrócił się funkcjonariusz do Giorgia. – Widziałeś ją tego dnia?

Giorgio oparł się niedbale o poręcz krzesła.

– Kogo?

– Alessię Venturi.

– Widziałem ją kiedyś w miasteczku. – Wzruszył ramionami, bagatelizując sprawę. – Tu każdy zna każdego z widzenia.

– Ktoś twierdzi, że rozmawiałeś z nią około piętnastej – naciskał karabinier.

– Rozmawiam z wieloma osobami – odciął się Giorgio.

– Mamy świadka, który widział białą Lancię na florenckich numerach zaparkowaną niedaleko miejsca, gdzie znaleźliśmy dziewczynę. Twój ojciec ma taki samochód, prawda? Wiemy też, że często go od niego pożyczasz.

– Tak, ale nie tamtym razem. Cały dzień jeździłem motocyklem.

– Odciski znalezione na miejscu zbrodni odpowiadają między innymi butom marki Tod's, rozmiar czterdzieści trzy. To bardzo droga marka i nie każdy może sobie na nią pozwolić.

– Czy pan wie, ile osób w moim środowisku nosi Tod's? Jeśli to ma być dowód, to życzę powodzenia.

Tymczasem w miasteczku coraz głośniej szeptano. Jedni mówili o drwalu, który miał ścinać sosny bez zezwolenia, inni o nieznajomym z południa, który pytał w barze, gdzie może kupić w miarę tani rower. Ktoś wspomniał starszego pana, który zawsze zatrzymywał młode dziewczyny na ulicy, żeby zagadać o pogodę. A jeszcze ktoś inny powtarzał plotkę o karabinierze z sąsiedniej miejscowości, który rzekomo radził, by nie drążyć sprawy zbyt głęboko.

– To wina ich ojców – stwierdziła wprost kioskarka, komentując nonszalanckie zachowanie młodych Zanissiego, Valentiego i Del Moro. – Nauczyli chłopaków, że wszystko im wolno.

Donata wracała do lasu każdego dnia. Szła tą samą ścieżką, aż do miejsca, gdzie znaleziono Alessię. Zatrzymywała się tam na kilka minut i kładła świeże kwiaty. Patrzyła, jak w letnim upale więdną szybciej, niż zdążyła się odwrócić. Sergio inaczej radził sobie z tą pustką. Zapełniał ją papierami. W grubym segregatorze trzymał wszystko: notatki z rozmów, kopie pism, krótkie adnotacje, które udało mu się wydobyć od karabinierów. Zapisywał daty i nazwiska, a potem powtarzał je jak formułki, żeby nic mu nie umknęło. Składał podania o przyspieszenie czynności, wydzwaniał do kancelarii i sekretariatów.

– Panie Venturi, to nie tak działa – powtarzano mu cierpliwie w prokuraturze.

Ale on nie potrafił tego zaakceptować.

Jesień 1995

Świadek, który wcześniej mówił o białej Lanci, nagle zaczął się wahać. „Może to nie był ten dzień", dukał, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. Do gazety dotarł anonimowy list, w którym ktoś napisał krótko, że wszyscy wiedzą, kto skrzywdził Alessię, ale zaraz dodał, że nikt niczego głośno nie powie. Na placu pojawiła się dziennikarka z mikrofonem i kamerzystą. Zaczepiała ludzi, pytając, czy to prawda, że w Rivamarinie dzieci bogatych rodzin mogą więcej niż inni. Słyszała w odpowiedzi półsłówka, westchnienia, uśmiechy wymykające się spod wąsa. Ktoś powiedział jej otwarcie, że tu wszystko jest ze sobą powiązane. Nici prowadzą od portu do ratusza i z powrotem. Jak pociągniesz jedną, poruszą się wszystkie inne.

Tymczasem prokurator wezwał Donatę i Sergia. Pojawiła się nowa informacja. Ktoś twierdził, że widział Giorgia Zanissiego w lesie, między piętnastą a szesnastą, w towarzystwie dziewczyny o blond włosach. Rodzicom zaparło dech, ale miesiąc później anonimowy świadek się wycofał. Rok później do Venturich przyszedł list. Bez podpisu, na zwykłej kartce w kratkę. „Przestańcie się panoszyć, każdy ma swoje nieszczęścia". Czas płynął, a proces nie ruszał. Nie było komu postawić zarzutów. Giorgio Zanissi wrócił na studia w Pizie. Zimą widziano go w Abetone, zjeżdżał na nartach tak samo pewny siebie jak zawsze, pachniał drogimi perfumami i błyskał białymi zębami. Tommaso Valenti zaczął terminować u ojca w kancelarii, całe dnie biegał w garniturze z aktówką pod pachą. Fabrizio Del Moro też pomagał swojemu ojcu w interesie, sprowadzał kolejne dostawy drogich kurtek żeglarskich. Latem znowu ktoś zauważył wszystkich trzech razem na placyku w Rivamarinie. Pili kawę i śmiali się głośno, żywo gestykulując.

Wiosna 1998

Przez trzy lata Donata miała wrażenie, że jej ciało boli w miejscach, których istnienia nawet by nie podejrzewała. Rano chodziła do pracy, robiła zastrzyki pacjentom, podawała leki, odpowiadała na pytania. Wieczorami zdejmowała buty z obolałych stóp, siadała w fotelu i wpatrywała się w ekran telewizora, często nie rozumiejąc, co właściwie ogląda. W kwietniu Sergio, który mimo upływu czasu wciąż nie rezygnował z walki o prawdę, przyniósł jej wiadomość.

– Sprawą zajął się nowy prokurator – powiedział, kładąc na stół kolejną teczkę z dokumentami. – Młody. Mówią, że się nie boi. Wysyłałem pisma.

– Dobrze – odpowiedziała Donata cicho.

Tym razem rzeczywiście wyglądało na to, że ktoś postanowił nie odpuszczać. Prokurator pojechał do Rivamariny, chodził po placu, rozmawiał z mieszkańcami, a potem poprosił o spotkanie w ratuszu. Rozmawiał z burmistrzem. Wciąż był nim Zanissi. Dwa tygodnie później Donata i Sergio zostali wezwani na rozmowę do prokuratury.

– Zlecimy ponowną analizę włókien zabezpieczonych na miejscu zbrodni – oznajmił. – Poprosiliśmy o pomoc laboratorium w Parmie.

Wyniki nie były jednoznaczne, ale włókna mogły pasować do tapicerki z Lancii. Burmistrz Zanissi zareagował natychmiast i stanowczo. Oświadczył, że samochodu wtedy synowi nie pożyczał, a auto stało cały czas w garażu. Niedługo później pojawił się nowy adwokat jednej z rodzin. Jego pierwszym krokiem był wniosek o odsunięcie prokuratora od sprawy. Zarzucał mu działanie pod wpływem presji opinii publicznej i rodziny ofiary, co zagrażało bezstronności.

Rivamarina, 2000–2001

Rivamarina weszła w nowe tysiąclecie niczym miasteczko wyjęte wprost z turystycznego folderu. Na nabrzeżu ustawiono rząd świeżych donic z roślinami, zamontowano nowe lampy, a na stronie gminy pojawiło się odświeżone logo. Sergio wciąż siedział w papierach.

Gromadził kolejne kopie dokumentów, zapisywał dziesiątki stron notatek. Na stole leżały segregatory tak grube, że czasem trudno było je domknąć.

– Przestań już – powiedziała mu kiedyś Donata, siadając naprzeciwko. – Przestań chociaż na chwilę.

– Jeśli ja przestanę, oni pozostaną bezkarni – odparł bez wahania.

– Oni i tak... – zaczęła, ale urwała. Nie miała siły dokończyć zdania.

Poszła do pokoju Alessii. Usiadła na jej łóżku, położyła się na chwilę i przytuliła policzek do poduszki. Szukała znajomego zapachu, ale dawno już wywietrzał. Została tylko pustka.

Z czasem docierały do nich różne wieści. Giorgio Zanissi otworzył gabinet stomatologiczny w Pizie. Tommaso Valenti rozpoczął aplikację u ojca. Fabrizio Del Moro ożenił się i rozwijał rodzinny biznes. W miasteczku powtarzano, że czas leczy rany, że życie idzie naprzód. Donata wiedziała, że to nieprawda. Każdy dzień, każda sekunda przypominały jej o Alessii. Rany nie goiły się, a wręcz przeciwnie, otwierały się wciąż od nowa. Pewnego wieczoru usiedli razem na tarasie. Z radia leciały dźwięki piosenek: „Laura non c'è", „Sei un mito", „Salirò". Patrzyli w stronę linii drzew, które ciemniały w zmierzchu.

– Kiedyś myślałam, że jeśli będę tu siedzieć wystarczająco długo, to miejsce coś mi powie, da mi jakąś wskazówkę – powiedziała Donata. – Ale ono milczy jak zaklęte. Nie mogę już tego dłużej znieść.

Kilka miesięcy później sprzedali letni dom.

W marcu, w zimny i wietrzny dzień, Donata znów przyjechała do pinety w Rivamarinie. Ścieżka była pusta, ziemia wilgotna po nocnym deszczu. Postawiła na igłach małą, przezroczystą butelkę z wodą i włożyła do niej żółty kwiat, który kupiła rano na targu. Nagle z daleka dobiegł ją warkot skutera. Dźwięk pojawił się niespodziewanie, odbił się od drzew i przerwał znienacka głuchą ciszę. Zanim zdążyła pomyśleć, jej ciało już zareagowało. Odwróciła głowę, serce podskoczyło, w oczach zapaliła się irracjonalna nadzieja. Przez ułamek sekundy wydawało się jej, że to Alessia. Ale za zakrętem mignęła



sylwetka jakiegoś chłopaka na Vespie, który zaraz zniknął w głębi lasu. Dźwięk powoli się oddalił i ucichł. Donata stała jeszcze przez chwilę w tym samym miejscu, z ręką opartą o pień sosny. Potem odezwała się półgłosem:

– Wiem, że nie wrócisz. Ale ja będę tu do ciebie wracać.

Odwróciła się powoli i ruszyła w stronę samochodu. Domu tutaj już nie miała, wieczorem wracała do San Felorio. Zostawiła za sobą ten sam las, te same drzewa, które pamiętała sprzed lat. Tylko tym razem nikt nie wybiegł zza zakrętu i nie zawołał: „mamo!".

Epilog, Rivamarina, czerwiec 1995

Tuż przed piętnastą Alessia siedziała na stopniach tarasu, na kolanach trzymała książkę. Słońce przesuwało się między gałęziami sosen, a ona próbowała skupić się na lekturze. Giorgio pojawił się nagle, ale tym razem nie miał na twarzy tego swojego swobodnego uśmiechu. Zsunął okulary przeciwsłoneczne na czoło.

– Musisz iść do pinety – powiedział szybko. – Coś się stało twoim rodzicom. Mieli wypadek.

Słowa uderzyły ją jak kamień. Zanim zdążyła zapytać o cokolwiek więcej, Giorgio dodał:

– Są tam, w lesie. Chodź, pokażę ci.

Alessia poderwała się z miejsca. Nie przyszło jej do głowy, że to może być kłamstwo. Wskoczyła na Vespę, nie chcąc tracić czasu. Zaproponowała, żeby usiadł za nią. Ruszyli ścieżką w stronę drzew. Na skraju lasu stała biała Lancia z otwartymi drzwiami, a obok niej dwóch chłopaków, Tommaso i Fabrizio, stali kumple Giorgia. Ich śmiech był podszyty fałszem i wymuszoną swobodą.

– O co chodzi? – zapytała Alessia, zatrzymując się niepewnie. Zeskoczyła z Vespy, pojazd przechylił się w bok.

Giorgio złapał ją za rękę. Zbyt mocno.

– Nic się nie stało. Chciałem tylko, żebyś przyszła.

Nie zdążyła zareagować. Reszta potoczyła się szybko. Ktoś złapał ją od tyłu, ktoś inny zatkał usta. Walczyła, kopała, ale była sama. Ich było trzech. Potem zapanowała cisza, nie mogła już krzyczeć. Kiedy wszystko się skończyło, zaciągnęli jej ciało dwieście metrów dalej. Położyli na ziemi, przykryli igłami, gałęziami i trzema kamieniami, spokojnie, bez pośpiechu. Giorgio wcisnął ręce w kieszenie i pierwszy odwrócił wzrok. Mogła z nim pójść na ten klif, kiedy grzecznie prosił. Przysięgli sobie, że nigdy nikomu o tym nie powiedzą. Kilka minut później wsiedli do Lancii. Po drodze wstąpili jeszcze do supermarketu po węgiel drzewny i mięso. Wieczorem na tarasie willi na wzgórzu rozpalili grilla. Pili piwo, jedli kiełbaski, ich dziewczyny tańczyły do muzyki z radia. Śmiali się głośno, zupełnie niewzruszeni tym, co zaszło. Mieli przed sobą całe życie.